

POLSKI ZWIĄZEK ŁOWIECKI
KLUB KOLEKCJONERA I KULTURY ŁOWIECKIEJ



BIULETYN
Nr 6/7
WRZESIEŃ 1996

WACŁAW PRZYBYLSKI

nasz klubowy kolega

CZŁONEK HONOROWY PZŁ

opowiada czytelnikom "Biuletynu" nie tylko o sobie

K.Mielnikiewicz - Cieszymy się, że mając za kanwę Pana łowiecki żywot, możemy na łamach "Biuletynu" porozmawiać o wielu sprawach dotyczących polskiego łowiectwa, w szczególności zaś o historii, szeroko pojętej kulturze i tradycji łowieckiej, dziedzinach, które w oczach wielu myśliwych są z utożsamiane z Pana działalnością.

W.Przybylski - To nie przypadek, ponieważ już w latach 50. po raz pierwszy wszedłem do władz PZŁ. może ze względu na fakt, że pracowałem w Polskim Radiu. Od lat 80. moja działalność we władzach związku ponownie skupiła się przede wszystkim na propagandzie, szkoleniu, kulturze i etyce. Tak się utarło, że Wacław Przybylski nadaje się do pracy w kulturze i publicystyce.

K.M. - Żeby taką opinię uzyskać, co więcej, żeby swobodnie poruszać się na niwie kultury, etyki, publicystyki, trzeba dojść do bardzo dużej wiedzy łowieckiej, mieć świadomość nadrzędności tych dziedzin w łowiectwie. Jak się do niej dochodzi?

W.P. - Bardzo wiele czytałem, kontakty z doświadczonymi, wybitnymi myśliwymi, którzy niestety polują już w krainie wiecznych łowów, dawały mi

coraz więcej wiadomości, które pogłębiałem lekturą. Ja w jakimś sensie jestem dyletantem, gdyż nigdy nie studiowałem łowiectwa w wyższej uczelni.

K.M. - Tam nie uczą historii, kultury, tradycji, etyki łowieckiej nawet na dostatecznym poziomie.

W.P. - Pochodzę z rodziny, w której te sprawy były pielęgnowane. Moja matka z zawodu plastyczka - malarka, kładła ogromny nacisk na to, co nazywa się dobrym wychowaniem i etycznym postępowaniem. Wzory się czerpało z książek wybitnych twórców łowieckich, stamtąd płynęły informacje nie tylko o polowaniach, ale i o przeżyciach, uzyskiwało się wskazówki, jak etycznie polować i postępować. W. Korsak dawał przecież wspaniałe tego przykłady w książce "Na tropach przyrody", przeznaczonej dla chłopców w wieku szkolnym. Dzisiaj młodzież tego typu literatury nie czyta. Książki, które wpadały mi w ręce napisane były przez myśliwych na wybitnym poziomie. Właśnie taką jest np. książka p.t. "Z przeżyć i wrażeń myśliwskich" - jedyna pozycja o tematyce łowieckiej, jaką napisał wspaniały literat, człowiek teatru, Stefan Krzywoszewski a ilustrował



Wacław Przybylski na XVIII Krajowym Zjeździe Delegatów PZŁ odczytuje rys historyczny uchwalania i nadawania statutów PZŁ

Kamil Mackiewicz. Z kart tych książek nie płynie wyłącznie chęć strzelania do zwierząt, ale ogromne umiłowanie przyrody i opis wspaniałych przeżyć myśliwskich. Ja miałem to wielkie szczęście, że jeszcze jako chłopiec poznałem Juliana Ejsmonda, byłem w jego domu, ponieważ chodziłem do jednej klasy z jego synem, Staszkiem. Poza tym wszyscy starsi myśliwi, z którymi się stykałem, jak np. brat mego dziadka, działacz łowiecki - Gustaw Hantke, tłumaczyli mi, jak powinien się zachowywać etyczny i prawy myśliwy.

K.M. - *Nasuwa się oczywisty wniosek, że łowieckie tradycje rodzinne odegrały podstawową rolę w ukształtowaniu pana wyjątkowej osobowości myśliwskiej.*

W.P. - I tak, i nie. Łowiectwo zacząłem uprawiać od wczesnego dzieciństwa, ponieważ wszyscy wokół mnie polowali, z wyjątkiem mojego ojca, którego myślistwo nie interesowało. Był kupcem, posiadał wielkie przedsiębiorstwa handlowe w kraju i za granicą. Natomiast ze strony matki, łowiectwem fascynowali się wszyscy. Polowała matka, obydwie jej siostry i szwagrowie. Właśnie w majątku mojego wuja, Zygmunta Niesiołowskiego stawiałem pierwsze myśliwskie kroki. Strzelbę dała mi ciotka, kiedy miałem 15 lat, była to para od dubeltówki mojej mamy. Właściwie byłem kłusownikiem, chodziłem, po polach i lasach w prywatnym łowisku wuja, bez pozwolenia na broń, nikt mnie więc nie zatrzymywał, a przy każdej okazji "przyklejałem" się do myśliwych polujących w majątku, w

którym i ja spędzałem wakacje. Byli to sławni warszawscy myśliwi, m.in. p. Czesław Lisowski - wspaniały rusznikarz, sława i znakomitość w tej dziedzinie, właściciel największego sklepu myśliwskiego na Krakowskim Przedmieściu, przedstawiciel najpotężniejszych firm rusznikarskich w Europie.

Często spóźniałem się na obiad, bo ze Smolnej szedłem na Krakowskie, gdzie przyklejałem nos do szyby sklepu, fascynując się kaskiem kolonialnym, w którym widziałem siebie na safari. Przed wakacjami p. Lisowski sprzedał mi, staremu znajomemu, za nędzne grosze, prawie w formie prezentu, lekki płócienny kapelusz w kształcie takiego kasku. Natomiast naukę teorii rozpocząłem od książki "Na tropach przyrody" W. Korsaka którą, do łóżka przyniosła mi matka, kiedy zachorowałem na anginę, mając 8 lat. Umiałem czytać, wtedy uczęszczałem do klas podwstępnych w Gimnazjum Zamoyskiego, przy Smolnej. Tak pochłonęła mnie ta książka, że czytałem ją "na okrągło". Później prosiłem o następne. Wreszcie dostałem po dziadku wspaniałe wydane "Łowiectwo" Krawczyńskiego, główny skarb mojej biblioteczki łowieckiej, spalonej w Powstaniu Warszawskim, podczas którego, jako żołnierz AK walczyłem w batalionie "Ruczaj".

K.M. - *Pełnoprawnym myśliwym został Pan po wojnie?*

W.P. - Znacznie wcześniej. Pozwolenie na broń oraz kartę łowiecką otrzymałem mając lat 17; było to w roku



Na giełdach KKiKŁ PZŁ. Trzej filateliści Wacław Przybylski, Krzysztof Mielnikiewicz, Józef Brzeziński (po prawej)

1938. Pragnąłem wtedy, żeby zatrzymał mnie policjant, albo zaczął ktoś w pociągu, kiedy ostentacyjnie, na widoku, kładłem futerał z bronią. Niestety, marzenia się nie spełniły. Przed wojną polowałem w łowiskach wuja i sąsiadów, a wakacje 39. roku przestrzelałem na stawach rybnych, mierząc do kaczek, w majątku Fajslawice w Lubelskiem, dokąd "wypuściłem się" z ogłoszenia.

K.M. - *Takie wspaniałe wspomnienia, dla większości myśliwych, dostępne są już tylko w literaturze; przywołam chociażby "Szczeniące lata" M. Wańkowicza, a obrazki z tamtych polowań można oglądać jedynie na fotografiach. Warto udać się więc do MŁiJ i obejrzeć takie zdjęcia na wystawie "Ziemianie polscy".*

W.P. - Z okresu przedwojennego posiadam jedno, jedyne łowieckie zdjęcie, na którym, jeszcze jako chłopak stoję z dubeltówką, w znanym już kapeluszu od p. Lisowskiego, w towarzystwie psa, cudownego gryfona, z którym polowałem. Zdjęcie to razem z ciekawym, łowieckim, historycznym dziś dokumentem zachowałem, gdyż miałem je zawsze przy sobie - w powstaniu i w obozowej niewoli. Dokumentem tym jest pokwitowanie wystawione 2.09.1939 r., potwierdzające zdanie do depozytu w starostwie grodzkim - średmiejskim, dubeltówki kaliber 20 i 10 szt. amunicji. Byłem przekonany, że odzyskam moją świetną strzelbę marki Francotte, wiedząc że broń zdeponowana w czasie I wojny światowej, w siedzibie Cesarskiego Towarzystwa Prawidłowego Myślistwa na Nowym Świecie, wróciła w 1918 r. do

myśliwych. Dokument ten wystawiałem w 50 lat później na wystawie "Historia warszawskiego myślistwa w dokumentach".

K.M. - *Wspomnił Pan o pobycie podczas II wojny światowej w obozach jenieckich. Znana jest działalność myśliwych za drutami kolczastymi. Spotkał się Pan z taką działalnością?*

W.P. - Działalność myśliwych w obozach jenieckich dotyczy oflagów, w których siedzieli oficerowie po kampanii wrześniowej 1939 r. Ich warunków życia nie sposób porównywać z koszmarem jaki miał miejsce w Lamsdorfie 344 (Łambinowicach), gdzie ja siedziałem. U nas nie mogło być mowy o żadnych spotkaniach, zebraniach myśliwskich, wieczorach dyskusyjnych i innych tego typu imprezach. Chociaż w obozie miało miejsce jedno z moich przeżyć łowieckich. Po raz pierwszy w życiu, siedząc za drutami, spotkałem wspaniałą chmarę jeleni podczas rykowiska. Obóz graniczył z polami, za którymi rozciągał się las. Wyszedłem o pierwszym brzasku z baraku i zobaczyłem w polu, w łanie buraków, chmarę jeleni. Stałem jak oczarowany, tym bardziej, że nie widziałem ich nigdy. Tak się złożyło, że po wielu latach moje pierwsze rykowisko odbywało się bardzo blisko tamtego miejsca, bo Łambinowice od Nadleśnictwa Szumirad leżą w linii prostej około 50 km.

W czasie ewakuacji obozu uciekłem w Górnej Frankonii z 7. kolegami i po 6. dniach przebywania w terenie niczym udało nam się wpaść w objęcia III Armii gen. Pattona. Następnie trafiłem do obozu



7 września 1996 r. Wacław Przybylski w asyście Witolda Sikorskiego otwiera walne zebranie i giełdę KKiKŁ PZŁ

przejściowego w Bambergu, gdzie byłem pod komendą pułk. Tomaszewskiego, późniejszego generała, ojca naszego przewodniczącego Zarządu Głównego. Pułk. Tomaszewski był komendantem wszystkich obozów dla byłych jeńców polskich w strefie amerykańskiej. Później, w miejscowości Freren, polowałem na terenach okupowanych przez naszą - I Dyw. Panc. gen. Maczka. Z siedmioma kolegami założyliśmy kółko łowieckie i polowaliśmy przez krótki okres. Było tam dużo zajęcy, saren, trochę kuropatw.

K.M. - Jaki był status prawny tego kółka łowieckiego?

W.P. - Było ono zarejestrowane w miejscowym garnizonie. Ale na terenie dywizji były oficjalnie działające koła łowieckie, z nazwami i legitymacjami dla ich członków. W obozach pracowałem w administracji, byłem tłumaczem.

K.M. - Jest Pan poliglotą

W.P. - To za dużo powiedziane. W mojej rodzinie uważano, że znajomość języków obcych jest czymś nieodzownym. W szkole uczyłem się niemieckiego, w domu francuskiego, później angielskiego. Tymi językami posługuję się w miarę swobodnie.

K.M. - Tuż po wojnie, po powrocie do kraju zagrało coś w myśliwskiej duszy?

W.P. - Niestety okoliczności wtedy nie były dla mnie sprzyjające. Miałem duże trudności w uzyskaniu pozwolenia na broń. Otrzymałem je wreszcie w 1952 r. i zacząłem polować w bardzo miłym i sympatycznym kole nr 42, skupiającym wielu świetnych myśliwych,

pracowników spółdzielczości "Społem". Dzierżawiliśmy znakomite tereny łowieckie w Ciechanowskim, w których jednak poza dzikami nie było zwierzyny grubej. To spowodowało, że po złożeniu egzaminu selekcyjnego przeniosłem się do KŁ "Mszary", gdzie prezesem był wspaniały, prawy myśliwy, mec. Zbigniew Turski, przew. Głównego Sądu Łowieckiego. Potem powstało KŁ "Fala" przy PRiTV i ja do tego koła wstąpiłem.

K.M. - Praca w Radiu dawała zapewne duże możliwości popularyzowania łowiectwa, jego przebogatej historii i kultury? W jakich czasach łatwiej było propagować łowiectwo? Jest Pan przecież autorem zmiany koncepcji propagowania łowiectwa.

W.P. - Przez 20 lat byłem prezesem koła przy PRiTV, więc wydawało się, że miałem możliwości uprawiania propagandy, skoro do koła należeli: prezes, wiceprezesi, dyrektorzy, sekretarze generalni pracujący w PRiTV. Jednak propagandy łowiectwa nie można było uprawiać, bo nie było to dobrze widziane w kierownictwie.

Łowiectwo postrzegane było przez władzę jako ważna dziedzina narodowego planu gospodarczego i źródło cennych dewiz. Obydwa te stwierdzenia to oczywiste bzdury. Natomiast o rzeczywistej, kulturowej wartości łowiectwa nie mówiło się nic. Ta dziedzina leżała odłogiem. Nie mogliśmy przeforsować koncepcji stworzenia stałej audycji myśliwskiej w PR. Pogadanki przyrodniczo - łowieckie prowadził przez 15 lat red. Zygmunt Trzebiatowski, który



Warszawa. Giełda KKiKŁ PZŁ. Od prawej Wacław Przybylski, Ryszard Cabaj, Witold Sikorski, Tomasz Motyl, Krzysztof Mielnikiewicz

U dołu: Przed Walnym Zebraniem KKiKŁ PZŁ na Zamku w Gniewie, 18.10.1997 r. Od prawej: Piotr Ławrynowicz, Jacek Tomaszewski, Wacław Przybylski, Krzysztof Mielnikiewicz, Marek Gorski



dzięki dużej sile przebicia (był nacz. red. redakcji oświatowej), wprowadził je na antenę. Ja "przemyciałem" łowiectwo w programie redakcji rozrywkowej. Na tym koniec. W TV pokazywano rozliczne, z merytorycznymi błędami filmy, które z łowiectwem miały niewiele wspólnego.

Była to wstydliva sprawa. "Wierchowka" władzy polowała prawie w całości, ale fakty te otoczone były mgłą tajemnicy i lepiej było tego tematu nie dotykać.

Dzisiaj istnieją możliwości propagowania łowiectwa, ale z biegiem lat narastała niechęć do łowiectwa z dwóch powodów - z nieznamości rzeczy oraz znikomej ilości myśliwych w Polsce. Do świadomości pewnej grupy społeczeństwa nie dochodzi w ogóle cokolwiek, co ma rzeczywisty związek z łowiectwem. Bardzo ciężko to odrobić.

Uważam, że propagandą łowiecką muszą się zajmować zawodowcy, fachowcy, tak jak się to dzieje w przemyśle rozrywkowym czy handlu. Siłą komisji problemowych zrobić się tego nie da. Komisje są ciałem społecznym, mało mobilnym, trudnym do zebrania i działania, mogą być jednak wspaniałym organem doradczym. Trzeba stworzyć ośrodki, kadry, które będą się tym zajmować.

K.M. - Jest to niezwykle kosztowne przedsięwzięcie.

W.P. - Tak, ale będą narastały ruchy antyłowieckie tak, jak dzieje się to w wielu krajach. Będziemy mieli coraz większy opór wobec łowiectwa i musimy być na to przygotowani, musimy mieć

ludzi, którzy potrafią operować kontrargumentami.

K.M. - Czy nie uważa Pan, że powinno się bardziej rozwijać wewnętrzną politykę informacyjno - szkoleniowo - propagandową, nastawioną na kształtowanie takich postaw myśliwych, które spowodowałyby, że łowiectwo na zewnątrz miałoby mniejsze problemy?

W.P. - Naturalnie. Musimy zdać sobie sprawę, że w naszym związku jest bardzo wielu ludzi, którzy są zainteresowani wyłącznie polowaniem. Tu jest pies pogrzebany. Taki człowiek jest dla nas stracony, chyba że będziemy nad nim pracować i przekonamy go, że łowiectwo to szalenie bogata dziedzina, że warto się zainteresować jej kulturą. Idealem byłoby, aby przychodzili do nas kandydaci, z wyniesionymi z domu tradycjami, z ukształtowanymi już zainteresowaniami kulturowymi - kolekcjonerstwem, fotografią. Musimy organizować wystawy, pokazujące całe bogactwo łowiectwa. Dziś nie możemy pokazywać samych trofeów; ktoś nazwał taką wystawę pokazem kościotrupów. Na przykład ogólnopolskiej wystawy plastyki łowieckiej nie było już ponad 20 lat. My w Warszawie nie robimy żadnego pokazu trofeów bez wzbogacania go o elementy malarstwa, rzeźby, grafiki, książki czy filatelistyki. Organizując wystawy trofeów łączyłem je np. z pokazem polskiej literatury łowieckiej, wziętej z własnego księgozbioru i z naszej związkowej biblioteki łowieckiej.

K.M. - Która jest na okrągło pusta, mimo że posiada unikalny zbiór.



Zebranie KKiKŁ PZł. Od lewej: Sławomir Przeździecki, Wacław Przybylski, Krzysztof Mielnikiewicz



Kwiecień 1996 r. Inauguracyjne posiedzenie Komisji Polityki Informacyjnej przy NRŁ.
Od lewej: Krzysztof Mielnikiewicz, Wacław Przybylski, Jacek Tomaszewski, Alfred
Hałasa

W.P. - Myśliwi nie przychodzą do biblioteki i do Muzeum Łowiectwa na wystawy stałe i ekspozycje czasowe. Prowadząc kursy zachęcam do chodzenia do muzeum i biblioteki. Tutaj powinno być wielu ludzi, bo tu mamy wszystko to, co ukazało się w języku polskim o łowiectwie. Powinni tutaj siedzieć kursanci, młodzi myśliwi i czytać. Ja sobie nie wyobrażam polskiego myśliwego bez znajomości "Sobola i panny", książek J. Ejsmonda, W. Korsaka i wielu innych autorów. Każdą nową książkę łowiecką czytam natychmiast, jak jest ona "jeszcze ciepła". Chciałbym, żeby ci wszyscy, którzy przychodzą do łowiectwa zaczęli od książek. Niedawno zadałem sobie wiele trudu i przejrzałem "Łowca Polskiego" od 1 numeru, wydane w 1899 r. do II wojny. Siedziałem w bibliotece codziennie, przez wiele tygodni i nikogo tu nie było. Nie jest to optymistyczne.

K.M. - *Co skłoniło Pana do studiowania tak dużego materiału. Może zamierza Pan swym przebogatym wspomnieniom nadać formę książkową.*

W.P. - Do tej pory wszystko to, o czym pisałem mnie osobiście nie dotyczyło. Napisałem, w ujęciu faktograficznym, rozdział dotyczący historii łowiectwa polskiego po II wojnie światowej, zamieszczony w książce "Łowiectwo w Polsce" M. Mazarakiego. Drukowałem sporo w "Łowcu", w tym zaledwie kilka opowiadań wspomnieniowych.

Co zamierzam. Chcę dokończyć zbieranie materiału dotyczącego mojej rodziny i skleić go wspomnieniami.

K.M. - *Przyznaję, że ma Pan doskonały do tego materiał i predyspozycje literackie.*

W.P. - Pamiętam polującego pradziadka, Aleksandra Bandtkie - Stężyńskiego z okresu, kiedy był jeszcze prezydentem Częstochowy. Pradziadek kupował dla Cesarskiego Towarzystwa Prawidłowego Myślistwa, jako jego skarbnik, siedzibę, oficynę, przy Nowym Świecie 35, właśnie tę, w której teraz rozmawiamy. Później mieścił się w niej Centralny Związek Polskich Stowarzyszeń Łowieckich następnie Polski Związek Stowarzyszeń Łowieckich i wreszcie PZŁ. Mam piękny protokół z zebrania Cesarskiego Towarzystwa Prawidłowego Myślistwa, drukowany w formie książeczki w języku polskim i rosyjskim, z którego uzyskałem tę informację. W rodzinie o takich sprawach nie rozmawiano, były to fakty oczywiste. W "Łowcu Polskim" były zdjęcia dziadka z jego polowań w Turkiestanie z okresu I wojny światowej. Stykałem się z wieloma wielkimi myśliwymi, członkami mojej rodziny. Jednym z nich był książę Stefan Jerzy Lubomirski, dyplomata polski, który polował w kraju i za granicą. Przekazał po wojnie trochę materiału fotograficznego do MŁiJ. Parę zdjęć mam i ja. On rzeczywiście miał wspaniałe osiągnięcia łowieckie, podobnie jak jego żona, a moja ciotka. Poza tym, jak mówiłem, stykałem się na polowaniach u mojego wujostwa w Kutnowskim z wieloma ciekawymi ludźmi. Patrzyłem na to szeroko otwartymi oczami i wiele tamtych wydarzeń wbiło się bardzo

głęboko w moją pamięć. Pamiętam moje polowania z matką, a także charakter polowań zbiorowych. Odbywały się one w zupełnie innej atmosferze, jeździło się powozami, wygodnymi bryczkami, było mnóstwo naganki i wspaniałe rozkłady. Po dwudniowych łowach organizowano bal. Panowie we frakach, panie w balowych sukniach, grała orkiestra. To był bal. Żałuję, że nie mogłem znać Franciszka Kostrzewskiego, malarza i rysownika, również scen myśliwskich, mojego prapradziadka, który zmarł w 1911 r.

Aby to spisać muszę mieć czas. Aktualnie pełnię bardzo dużo funkcji w łowiectwie. Tak wiele, że w ostatnich trzech latach nie byłem w obwodzie.

K.M. - Jest Pan kolekcjonerem, członkiem naszego Klubu. Z rozmów podczas giełd kolekcjonerskich wywnioskowałem, że interesuje się Pan malarstwem, literaturą i filatelistyką.

W.P. - Moją bibliotekę odtworzyłem z wielkim trudem i mozolem. Mam w tej chwili ponad 560 pozycji literatury łowieckiej polskiej i obcojęzycznej. W tej chwili ograniczam nabywanie następnych pozycji, ponieważ nie mam już miejsca na książki. Mieszkam w małym mieszkaniu, a poza łowiectwem mamy z żoną jeszcze bardzo wiele innych zainteresowań i w związku z tym bardzo wiele innych książek. Z tego samego powodu wykluczone jest kolekcjonowanie obrazów i grafiki. Zbierałbym je z największą chęcią, ponieważ dostarczałyby mi wielu przeżyć. Kiedyś ojciec kupił mi wspaniały obraz Pochwalskiego "Dziki". Sprzedałem go

do Muzeum Łowiectwa i Jeździectwa, gdyż uważałem, że spełni jakąś rolę, jeżeli oglądany będzie przez myśliwych.

Poważniejszą moją kolekcją, która może się liczyć, jest zbiór filatelistyczny "Jelenie świata". Obejmuje on tylko niektóre gatunki jeleniowatych, bowiem w filatelistyce wszystko zrobiło się gigantyczne. W ciągu 15 lat kompletowania zbioru zauważyłem, że jelenie na znaczkach, nie licząc stempli okolicznościowych, mnożą się szybciej, niż w moich łowiskach. Więc ja ograniczyłem się do jeleniowatych bez renifera, sarny, daniela i losia.

K.M. - Dlaczego wyeliminował Pan zwierzynę naszych łowisk, a zainteresował się jeleniami, dla wielu z nas egzotycznymi ?

W.P. - Zacząłem zbierać jelenie i zorientowałem się, że jak "się wpakuję" we wszystkie jeleniowate to nie dam rady. Zresztą byłoby to za kosztowne. Samych podgatunków jelenia wirgińskiego (*Odocoileus virginianus*) jest 48. Oczywiście, że on się ukazuje na znaczkach wielu krajów, począwszy od Finlandii, gdzie został wprowadzony, na krajach Ameryki Południowej skończywszy. Jelenie są na wszystkim, widnieją na wietnamskich dzwonach modlitewnych z brązu, talerzach, koronkach, występują w postaci masek itd. Mam w tej chwili ok. 190 kart wystawowych ze znaczkami, kopertami i stemplami.

K.M. - By wymienić wszystkie funkcje, jakie pełnił Pan w łowiectwie, wspomnieć o działalności krajowej i międzynarodowej w dziedzinie kultury i

propagandy (nie tylko łowieckiej), wymienić wszystkie krajowe i zagraniczne order, odznaczenia państwowe i resortowe, należałoby rozmawiać co najmniej dwa razy dłużej.

W tym kontekście powiem, że "Złot", "Medal św. Huberta" wreszcie Członkostwo Honorowe PZŁ, nadane Panu przez ostatni Krajowy Zjazd PZŁ trafiły w najlepsze ręce.

W.P. - Wielkim zaskoczeniem dla mnie było, kiedy na ostatnim zjeździe zostałem uhonorowany tym wybitnym zaszczytem - Członkostwem Honorowym PZŁ. Znalazłem się w nielicznym gronie ludzi wyjątkowo zasłużonych. Z zażenowaniem przyjąłem tę godność, chyląc czoło przed moimi poprzednikami, wielkimi nazwiskami w historii polskiego łowiectwa. Jak to się stało, że osiągnąłem te wszystkie zaszczyty? Muszę powiedzieć, że nie bardzo jestem przekonany o tym, że zrobiłem aż tyle dla PZŁ, bowiem należałoby się poświęcić w znacznie większym zakresie.

K.M. - Do wielu Pana zalet dochodzi jeszcze jedna - skromność.

W.P. - Aktywnie zacząłem działać będąc na emeryturze, aczkolwiek już w 1953 r. zostałem członkiem WWRŁ, po czym nastąpiła długa przerwa spowodowana niesprzyjającym okresem dla ludzi takich jak ja - z przeszłością AKowską i niewłaściwym pochodzeniem społecznym, jak to się wówczas nazywało. Przez cały ten czas byłem, mimo to, aktywnym myśliwym. W latach 1961- 1983 realizowałem na antenie PR audycje o tematyce łowieckiej, pełniłem

we wszystkich kołach, do których należałem, różne funkcje w ich zarządach.

Teraz chętnie pracowałbym znacznie więcej, ale za kilka dni kończę 74 lata i na wszystko już nie starcza siły.

K.M. - Życzę Panu, w związku z urodzinami, jeszcze wielu wspaniałych lat i satysfakcji z działalności łowieckiej.

W.P. - Satysfakcję olbrzymią dały mi kontakty z przyrodą, np. tokowiska cietrzewi, czy pierwsze rykowiska. Było wiele cudownych chwil.

A obecnie, aż wstyd się przyznać; przez trzy lata nie byłem w obwodzie swego koła. Tak się stało, że pełniąc różne funkcje w naczelnych władzach łowieckich, przewodnicząc lub uczestnicząc w najróżniejszych komisjach stałych i doraźnie powoływanych (Na ratunek lasom, podręcznikowej, dla opracowania formy i regulaminu medalu św. Huberta, szkoleniowej i wielu innych) nie starczyło czasu na praktyczne pielęgnowanie łowiectwa. Przez cały czas pełnienia funkcji w NRŁ oddałem 6 strzałów, efektem których było 5 rogaczy i 1 dzik. Gdybym w takim tempie chciał wystrzelać moją amunicję musiałbym żyć ponad 150 lat.

K.M. - A polowania reprezentacyjne?

W.P. - Na reprezentacyjnych nie bywam.

K.M. - Jakie życzenia chciałby Pan skierować do młodych (i nie tylko) myśliwych

W. P. - Przede wszystkim, żeby jak najdłużej i na jak największą liczbę gatunków zwierzyny można było w

Polsce polować. By te polowania nie były wszystkim, ale żeby stanowiły tylko część łowieckiego życia. Żeby młodzi, poprzez polowania, dążyli do głębszego poznawania przyrody, literatury, malarstwa, nie tylko dla siebie, ale również w celu propagowania takich oczywistych poglądów, że łowiectwo jest kolosalną dziedziną życia, tą, która dała ludzkości sztukę w postaci malarstwa. Pierwsze obrazy w historii ludzkości wykonane zostały przez łowców na ścianach pieczar ponad dwadzieścia tysięcy lat temu. Wskazują one, że ówczesni myśliwi, tak głęboko przeżywali wspaniałe sceny, w których uczestniczyli, a które były ich koniecznością życiową,

że czuli potrzebę odzwierciedlenia tego w postaci rysunków. Pozostawili nam jednocześnie przekaz, że musimy tak podchodzić do łowiectwa, aby polowanie nie kończyło się w momencie oddania strzału. Chciałbym też bardzo, żeby jak najmniej było zaślepionych przeciwników łowiectwa, z którymi nie można dyskutować, ponieważ uważają, że nie ma o czym. Jestem gotów, podobnie jak wielu moich kolegów do poważnych rozmów z przeciwnikami, którzy chcą tej dyskusji.

K.M. - Serdecznie dziękuję za rozmowę.

Rozmawiał Krzysztof Mielnikiewicz

